

ŻYCIE OBOZOWE W FÜNFTTEICHEN

Fünfteichen było największym obozem-komandem zewnętrznym obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Więźniowie zatrudnieni tam byli przy produkcji sprzętu zbrojeniowego w zakładach firmy Krupp "Bertha Werke", przeniesionych tu z Nadrenii. W tym czasie wiele zakładów zbrojeniowych otwierało swe filie na terenach Dolnego Śląska, ponieważ były one trudniej dostępne do bombardowania przez lotnictwo alianckie.

W obozie znajdowało się około trzydziestu baraków-bloków mieszkalnych, cztery baraki-bloki rewiru, dwa bloki tzw. echonungu oraz kuchnia, kantyna, magazyny, umywalnia, ubikacje i plac apelowy. Wszystko to było ogrodzone płotem z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym i zasiekami. Uzupełniały całość rozmieszczone dookoła wieże strażnicze, wysokości około ośmiu metrów. Na zewnątrz ogrodzenia znajdowały się budynki komendantury i obsługi obozu.

Stan dzienny więźniów wynosił stale około sześciu tysięcy ludzi różnych narodowości, w tym zdecydowaną przewagę mieli Polacy, a następnie Rosjanie i Żydzi.

Fünfteichen nie posiadało własnego krematorium ani komory gazowej. Zmarłych zakopywano po prostu na pobliskich polach lub w późniejszym okresie wywożono samochodami do Gross-Rosen. W końcu roku 1944 śmiertelność wśród więźniów była duża i wynosiła około sześćdziesięciu osób tygodniowo, co dawało stały ubytek siły roboczej, która była systematycznie uzupełniana przez nowe transporty z Gross-Rosen.

W jednym z takich transportów uzupełniających, w początkach października 1944 r., znalazłem się wraz z kolegami: Zenonem Śmieciańskim i Zygmuntem Wojtczakiem. Trafiłem na blok Nr 24, gdzie rządził BV-erowiec Gustaw /nazwiska nie znam/, który wraz z grupą funkcyjnych, ze sztabowym Romanem z Łodzi, stworzyli więźniom wyjątkowo trudne warunki życia.

Mieszkaliśmy w barakach zmontowanych z elementów drewnianych na podmurówce, składających się z dwóch pomieszczeń do spania i jednego dziennego, który był tylko na pokaz, gdyż więźniowie, ciągle wypędzani z bloku, przebywali przeważnie na dworze. Montaż elementów był tak niedbały, że przez pozostawione szpary i prześwity sypał się do środka śnieg, przeciekał deszcz i przedostawało się przejmujące zimno, tym bardziej że sypialnie w ogóle nie były ogrzewane. Pracowaliśmy w systemie dwunastogodzinnym, raz na dzień, raz na noc. Od godziny siódmej do godziny dziewiętnastej i odwrotnie.

Po zmianie dziennej wracaliśmy do obozu około godziny dwudziestej pierwszej. Otrzymywaliśmy obiad-kolację i po spełnieniu różnych obowiązków mogliśmy położyć się spać. Budzone nas już około godziny czwartej rano, potem było mycie, sprzątanie, śniadanie, apel i wymarsz do pracy. Wszystkie te czynności uzupełniali blokowi swoistymi, wymyślonymi zarządzeniami. Na przykład w bloku 5 codziennie rano blokowy przeprowadzał swym podopiecznym "kąpiel". Wszyscy musieli bez względu na pogodę i porę roku, pobiec nago do umywalni, umyć się i wrócić. Oczywiście podczas ubierania powstawały różne pomyłki, kradzieże odzieży i bałagan, na który tylko czekali funkcyjni, przywracający "porządek" biciem i katowaniem.

Najbardziej jednak dawała się nam we znaki nocna zmiana, ponieważ po całonocnej pracy i przyjsciu do obozu około godziny dziesiątej otrzymywaliśmy śniadanie i - zamiast spać - zapędzano nas do najróżniejszych wymyślnych czynności porządkowych, związanych z utrzymaniem higieny osobistej i czystości na terenie bloku, które trwały nieraz do południa. Było to mycie, golenie, golenie co trzy dni paska na głowie, odwszawianie, ponadto czyszczenie i naprawa odzieży; codzienne szlifowanie stołów, stołków, łóżek i innych sprzętów, mycie okien i podłóg, zamiatanie, grabienie i sprzątnięcie terenu wokół bloku, noszenie żywności z kuchni i szereg innych czynności, których celem było utrzymywanie więźniów w stałym napięciu i zatrudnianiu. Każde zagapienie się lub drobne niedokładności przy wykonywanych pracach powodowały natychmiast wymierzaną karę indywidualną albo karne ćwiczenia dla całego bloku.

Sadyści SS-mani i funkcyjni, blokowi, kapo, sztabowi, znęcali się nad swymi ofiarami w najbardziej wyrafinowany sposób: kopali okutymi butami, bili pięścią, łokciem, pejczem, kijem, szufelką od węgla lub innymi będącymi akurat w zasięgu ręki przedmiotami. Pamiętam, jak podczas nocnego alarmu lotniczego, wyrwani ze snu więźniowie stłoczyli się w drzwiach z sypialni do jadalni i wtedy zostali okrutnie zmasakrowani przez blokowego Gustawa zwykłym stołkiem, który posłużył mu za narzędzie do bicia. Tak więc na sen i wypoczynek pozostawało nam zaledwie kilka godzin.

Pracowaliśmy w pięciu wielkich halach fabrycznych, podzielonych na oddziały /schiffy/. Każdy oddział posiadał własnego kapo. Razem z nami pracowali również pracownicy cywilni: Niemcy, Francuzi, Polacy i inni. Podczas pracy obowiązywały specjalne nakazy i zakazy, które nie pozwalały nam, między innymi na oddalanie się z miejsca pracy lub jakiegokolwiek kontakty z cywilami. Poza tym co trzy godziny zarządzano apel w celu sprawdzenia stanu więźniów. Wszelkie uchybienia karane były natychmiast lub po przyjsciu do obozu i wezwaniu do kancelarii /schreibstuby/.

Za tygodniową pracę z Kruppa otrzymywaliśmy od czasu do czasu jeden bon premiowy /premienschein/, za który mogliśmy otrzymać w kantynie obozowej kilka papierosów, lub coś do zjedzenia, na przykład miskę kiszzonej kapusty czy buraków. Ci, którzy mogli otrzymać z domu paczki żywnościowe lub pieniądze, mieli się trochę lepiej, ale i tak zakup za pieniądze odbywał się w szczególny, wyrafinowany sposób. Więzień dowiadywał się od blokowego, że ma na swym koncie pewną sumę pieniędzy, lecz nie dostawał ich do ręki, tylko zmuszony był do jednorazowego wykupienia, za wszystko, żywności. Jeżeli była to więźka suma, to za całość wykupywano np. dwie-trzy beczki kiszzonej kapusty, buraków lub brukwi i przynoszono to wszystko na blok. Oczywiście delikwent mógł zjeść tylko określoną ilość, przeważnie i tak chorował z przejedzenia, a resztę rozdawano "wybrańcom" lub muzułmanom.

Zdarzyło się raz, że za pieniądze jednego z więźniów zakupiono parę beczek solonej dyni. Po powrocie z pracy na dzienną zmianę i zjedzeniu obiadokolacji, blokowy z zagadkową miną zapytał, kto jest jeszcze głodny? Natychmiast zgłosiło się wielu, lecz zamiast jedzenia otrzymali tylko kilka razów chochlą, natomiast blokowy wybrał sobie jednego z Rosjan /Iwana/ i spytał, czy chce otrzymać miskę jedzenia pod warunkiem, że musi zjeść ją na oczach wszystkich. Wybrańiec z radością zgodził się na tę propozycję i przystąpił do jedzenia. Już po krótkim czasie przekonał się, że mimo głodu, zjedzenie takiej ilości solonej dyni nie jest wcale łatwe. Z wielkim wysiłkiem, pod groźbą kary, uporał się z zawarto-

ócię miski i poprosił o pozwolenie pójścia do umywalni, aby móc napić się wody, lecz na to mu nie pozwolono. Na tym właśnie polegała perfidia, żeby bez kary cielesnej przeżył jeszcze większe męczarnie, nie mogąc zaspokoić pragnienia. W tym czasie zresztą jeszcze wiele osób ekusiło się na zjedzenie, już po tym zdarzeniu, rozdawanej dyni, ponieważ pokusa zaspokożenia "choroby" głodu była większa niż rozędek. Wszyscy jednak bardzo tego żałowali, gdyż picie dużej ilości wody dla ugaszenia pragnienia spowodowało u wielu rozstrój żołądka i biegunkę, która dla wycieńczonych organizmów była chorobą nadzwyczaj groźną i trudną do opsnowania. Dodatkowym umęczeniem były jeszcze kary i "ćwiczenia" za nieporządek, ponieważ nikt nie mógł zjeść zamierzonej porcji do końca, starając się ukryć lub wyrzucić ją gdziekolwiek, co oczywiście nie uszło uwadze funkcyjnych.

Podczas mego pobytu w Fünfteichen zdarzyło się kilka ucieczek z terenu fabryki. Najlepiej pamiętam ucieczkę Rosjanina, jeńca wojennego imieniem Sasza, który pracował przy sąsiedniej obrabiarce, tuż obok mnie. Działo się to wszystko na nocnej zmianie, podczas alarmu lotniczego. Musieliśmy przejść do schronów przeciwlotniczych, znajdujących się na zewnątrz, niedaleko hal fabrycznych. Było przy tym trochę zamieszania z powodu pośpiechu i ciemności. Kontrola również była utrudniona, bo oprócz więźniów chowali się także do schronów pracownicy cywilni. Sasza wykorzystał moment nieuwagi, nie pobiegł wraz z innymi do schronu, lecz pod osłoną ciemności przedostał się przez zewnętrzne ogrodzenie zakładu i uciekł na wolność. Był to bardzo dobry moment do ucieczki dlatego, że alarm trwał około trzech godzin i dopiero po jego zakończeniu, w czasie apelu, można było stwierdzić brak jednego z więźniów. Po parokrotnym liczeniu polecono nam zająć swoje stanowiska pracy i wtedy okazało się, że brakuje Rosjanina, mojego sąsiada. Czas jednak działał na jego korzyść i zanim rozpoczęto dokładniejsze poszukiwania, on odbiegł już dość daleko lub ukrył się w bezpiecznej kryjówce.

Całe to zdarzenie przeżyłem bardzo mocno, ponieważ byłem parę razy "przesłuchiwany" przez kapo i SS-manów, czy nie zauważyłem czegoś, co wskazywałoby na przygotowania do ucieczki. Jeśli fakt ten miał by miejsce podczas pracy, groziła mi kara za niezgłoszenie o braku mojego sąsiada przy maszynie dłużej niż pięć minut.

Drugą udaną ucieczką, którą znam tylko z relacji kolegów, była ucieczka jednego z więźniów z Krakowa. Po zakończeniu dziennej zmiany, około godz. 19,30 rozpoczęliśmy wymarsz do obozu. Było ciemno, śąpił dorbny deszcz. Żeby dostać się do naszej ogrodzonej drogi, musieliśmy przejść kilkaset metrów po drogach wewnętrznych, zakładowych, z których również korzystali inni pracownicy-cywilie. Na jednym z zakrętów więzień wyskoczył z szeregu i nie zauważony zmieszał się z grupą cywilów, prawdopodobnie zaprzyjaźnionych, którzy całowo stworzyli taką sytuację, umożliwiając mu ucieczkę do wcześniej przygotowanej kryjówki. Zanim się zorientowano, już było po wszystkim - ciemności sprzyjały temu wyczynowi. Najbardziej ucierpieli na tym najbliżsi sąsiedzi uciekającego, za to, że nie weszli na czas alarmu, i my wszyscy stojący kilka godzin na deszczu i oczekujący na rezultaty poszukiwań. Wróciliśmy do obozu dopiero około północy z cichą satysfakcją, że chociaż jednemu z nas się powiodło.

Była również udana ucieczka dwóch lub trzech więźniów pracujących jako hydraulicy. Ponieważ zakłady budowano w pośpiechu, nie wszystko, co zaplanowano, zostało wykończzone na czas. Na razie urządzono i oddano do użytku na naszej hali jedną ubikację,

natomiast drugą, tuż obok, dopiero wyposażano. Grupa więźniów zatrudniona przy tym systematycznie nadpiłowywała kraty, przygotowując ucieczkę. Działali oni w porozumieniu z cywilami, od których otrzymali odpowiednie ubrania. Wreszcie, gdy wszystko było gotowe, zaraz po apelu o północy, przebrali się, wyłamali kraty i uciekli. Na bezpieczne oddalenie się mieli czas aż do rannego apelu, kiedy to podczas liczenia stwierdzono ich brak. Od tej ucieczki wprowadzono dwa dodatkowe apele o godzinie 22,00 i 3,00 w nocy.

Raz tylko zdarzyło się, że więzień pracujący w transporcie ukrył się w załadowanym wagonie, ale został odnaleziony i ciężko ukarany. Nieszczęściem jego było to, że wagon, w którym się ukrył, nie odjechał w planowanym czasie. Po stwierdzeniu braku, rozpoczęto poszukiwania zakończone "sukcesem".

Chociaż nie wszystkie ucieczki były przez nas zauważone, to zawsze orientowaliśmy się dobrze, co się stało, po dodatkowych apelach, liczeniu i nerwowych poszukiwaniach. Zawsze spotykały nas wtedy różne represje, kary, popędzanie, bicie i ćwiczenia, które świadczyły o bezsilności, złości i bestialstwie SS-manów. O tym zaś, czy ucieczka była udana, czy nie, dowiadaliśmy się stąd, gdy schwytana ofiara była na oczach wszystkich bita i maltretowana, nieraz aż do śmierci, a następnie pokazywana w miejscu publicznym jako ostrzeżenie dla tych, którzy mieliby chęć naśladowania.

Stosunkowo duża ilość podejmowanych w tym czasie ucieczek spowodowana była zapewne ogólną sytuacją na frontach, która zapowiadała rychły koniec Trzeciej Rzeszy. Miało to niewątpliwie swój wpływ na zachowanie się obsługi obozu, przejawiające się zmniejszoną koncentracją, oznakami obojętności i rozluźnienia dyscypliny, co pozwalało więźniom na większą swobodę w tego rodzaju działaniach.

Sprawą, na którą warto również zwrócić uwagę w Fünfteichen, były warunki bytowe i higiena. Zaczniemy od żywienia. Było ono następujące: Na śniadanie otrzymywaliśmy pół litra zupy z kartofli, którą przygotowywano w ten sposób, że kartofle, po opłukaniu, wrzucano w całości do kotła i zagotowywano, nawet nie dodając soli. Powstawała z tego mętna, szara ciecz z pływającymi w niej obierkami. Do tego 30 dkg chleba i kawałek margaryny, twarogu, marmolady lub pseudowędliny. Na dodatek specjalna premia od firmy Krupp, tzw. dziesiątka, w postaci kawałka chleba wagi około 10 dkg. Ta ilość żywienia musiała wystarczyć na cały dzień, ponieważ dopiero po powrocie z pracy około godziny 21 otrzymywaliśmy obiad-kolację w postaci jednego litra zupy z buraków pastewnych, brukwi, marchwi czy jakiegokolwiek innej zielenicy. Zupa była poważnie zupełnie zimna, gdyż kotły czekały na nas już od południa.

Ubranie więźnia w okresie letnim składało się z pasiaków, trepów i czapki, w zimie dodawano jeszcze płaszcz-pasiak i skarpety. Bielizna też ze specjalnego materiału w pasy lub cywilna. O ubiór każdy musiał dbać we własnym zakresie, otrzymując od czasu do czasu "naukę" od funkcyjnych. Bielizny w ogóle nie prano, tylko wymieniano na inną, ale dopiero po dwóch, trzech miesiącach noszenia. Nieraz dochodziliśmy do wniosku, że to postępowanie jest celowe, bo po co zmieniać bieliznę komuś, kto i tak w tym mniej więcej czasie pożegna się z tym światem.

Warunków do mycia i zachowania higieny osobistej nie mieliśmy w zasadzie żadnych. Prymitywne obiekty, zwane umywalniami, urządzone były w ten sposób, że nad kamiennymi korytami przeprowadzono rury, z których kapiała zimna woda. Po wpędzeniu do środka kilku-

dziesięciu osób trudno było w nich się poruszać, nie mówiąc już o myciu lub kąpaniu. Ponadto rozchlapywana woda wraz z naniesioną ziemią stwarzała błoto, rozdeptywane i roznoszone dookoła. Jedynym pożytkiem z umywalni było to, że w nielicznych wolnych chwilach stawała się ona miejscem spotkań z kolegami, a jednocześnie swego rodzaju giełdą, targiem, gdzie można było wymienić papierosy, chleb lub inne przedmioty codziennego użytku.

Poza ciągłym uczuciem głodu i brudem bardzo nam dawało się we znaki zimno. Wystawaliśmy na apelach na deszczu, chłodzie i mrozie. Spaliśmy w pomieszczeniach nie ogrzewanych, na papierowych siennikach wypchanych wiórami drzewnymi, pod jednym kocem, na dodatek przy otwartych oknach. Jedynym schronieniem była fabryka, która zabezpieczała nas przed wpływami atmosferycznymi.

Bardzo dokuczliwym zjawiskiem w obozie była plaga wszy, które stawały się nie do zniesienia. Sprzyjało ich rozwojowi też to, że za każdym razem spaliliśmy w innym łóżku, wybierając po prostu pierwsze wolne. Ciągłe akcje odwyszawiania pomagały niewiele, najwyżej dawały powód do bicia, gdyż za każdą znalezioną wesz otrzymywało się pięć batów. Próbowano także smarowania głowy i innych wrażliwych części ciała roztworem wody i żrących substancji chemicznych, które zamiast zabijać wszy, tylko drażniły i niezczyły skórę, powodując przykre dolegliwości.

Osobną sprawą było strzyżenie i golenie, którego musieliśmy przestrzegać pod groźbą kary. Nosiliśmy włosy długości do dwóch centymetrów, z wygolonym przez całą głowę pasem szerokości około trzech centymetrów. Również włosy na karku musiały być wygolone równo z uszami. Czynności te trzeba było powtarzać co najmniej raz na trzy dni /np. środa, sobota/ i były one dla nas ietną udręką, ponieważ golono nas zazwyczaj na dworze w wielkim pośpiechu, byle jak, a przede wszystkim tępymi brzytwami lub żyletkami, bez mydła. Nie obyło się przy tym bez zacięć i skaleczeń, które na skutek brudu przeradzały się nieraz w ropiejące rany.

Do całości życia obozowego trzeba jeszcze włączyć pobyt w szpitalu obozowym /rewirze/ i bloku ochronnym /schonung/. Rewir był wydzielony i ogrodzony płotem z pojedynczego drutu kolczastego. Przebywali w nim więźniowie chorzy lub wycieńczeni do tego stopnia, że nie mogli o własnych siłach ustać na nogach. Wyżywienie podobne było do ogólnego, tylko pomniejszone o dodatki dla pracujących w fabryce. Chorzy leżeli nago, bez bielizny, po dwóch w jednym łóżku. Lekarzami, kapo i sanitariuszami byli więźniowie często nie mający nic wspólnego z medycyną. Ciężko chorzy zdani byli przeważnie na łaskę losu, natomiast lżej chorych próbowano niekiedy leczyć lekami zorganizowanymi od Niemców lub od pracowników cywilnych i przemycanymi do szpitala. Konieczne zabiegi przeprowadzano "na żywo", bez znieczulania, za pomocą prymitywnych środków i narzędzi. Oczywiście nawet tych najprostszych środków i leków nie starczało dla każdego i dlatego też trzeba było cudu, żeby wyzdrowieć. Komu się to udało, zostawał z rewiru wypisany i przechodził na schonung, gdzie przed powrotem do fabryki jeszcze przez dwa trzy dni był wykorzystywany do różnych prac porządkowych w obozie.

Obóz rządził się własnymi, nieludzkimi wprost prawami. Panował w nim stały terror fizyczny i psychiczny. Puszczona w ruch przez oprawców machina z okrutną bezwzględnością niezczyła wszystkich, którzy stanęli na jej drodze. Dokładny opis lub odtworzenie tego, co działo się za drutami, jest wprost niemożliwe. Żeby to właściwie zrozumieć, trzeba to samemu przeżyć.

Przedstawione powyżej fakty i wydarzenia są tylko drobnymi fragmentami niedoli więźniów. Bestialskie traktowanie, głodzenie, maltretowanie, wyniszczanie przez pracę ponad siły i zabijanie - wszystko to stwarzało warunki, w których przeżycie kilku miesięcy graniczyło z cudem. Z tych właśnie powodów Aussenkommando Fünf-teichen /obecnie Jelcz/ zaliczyć trzeba do symboli cierpień, ka-torgi i męczeństwa ludzi.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.17